Prawdziwe historie

Już kilka kolejnych prawdziwych historii opowiedzianych nam przez mieszkańców regionu zamieściliśmy na łamach "Przeglądu...". Każda z nich czegoś nas uczy, na coś zwraca uwagę, czasem pozwala patrzeć na swoje życie z większą nadzieją. Te historie są zarówno smutne, bywa, że tragiczne, ale także optymistyczne i radosne. Takie jak życie.

Jeszcze raz więc prosimy czytelników, by zechcieli nam swoje historie opowiadać. Mogą dotyczyć ich osobiście albo ich rodziny, znajomych, sąsiadów. Mogą dziać się tu i teraz, ale także przed laty, w dzieciństwie. Ważne, aby były prawdziwe. Na każdy sygnał o zaproszeniu do rozmowy przyjedziemy i spiszemy opowieść. Możemy zmienić imiona bohaterów bądź zachować dla siebie niektóre szczegóły, zawsze jednak opowiemy prawdziwą historię.

I jeszcze jedna uwaga. Nie wszystkie opowieści z życia wzięte muszą dotyczyć Osiecznej czy naszej gminy. Niektóre dzieją się tuż za miedzą, w sąsiedniej wsi czy miasteczku. Opowiadają je spotkani w reporterskich wędrówkach mieszkańcy regionu. Czasem po to, by po prostu było im lżej.

Spotkałam niedawno moją kuzynkę. Jest dużo ode mnie młodsza, prawie dwadzieścia lat. Kiedyś często się widywałyśmy, bo mieszkałyśmy, niedaleko – w tej samej miejscowości. Kiedy jednak wyszłam za mąż, wyprowadziłam się i przyjeżdżałam do rodzinnej wsi już tylko kilka razy w roku. Ona wtedy była młodziutka i właśnie poznała swego przyszłego męża. Myślałam o niej jak o młodszej siostrze. Martwiłam się, czy dobrze trafi, czy jej wybranek zapewni utrzymanie rodzinie, czy ją kocha?

Plotki mówiły, że chłopak jest rozrywkowy i że „praca się go nie trzyma". Ale mama mojej kuzynki uważała to małżeństwo za dobrą partię. Ciągle powtarzała, że na wsi nie ma co przebierać i że okazja na wejście do zamożniejszej rodziny może się drugi raz nie trafić. Dzisiaj takie argumenty wydają się śmieszne, ale ja piszę o latach sześćdziesiątych, o wiejskiej społeczności, gdzie dwudziestoletnia dziewczyna była już starą panną.

Spotkałam więc tę moją kuzynkę i nie mogłam uwierzyć, że jest ona naprawdę ode mnie tyle młodsza. Wyglądała niemal na staruszkę, a przecież nawet ja tak się jeszcze nie czuję. Zupełnie zszarzała, jakby się zmniejszyła i była przeraźliwie smutna. Wiedziałam, że coś musiało się stać. Szybko przypomniałam sobie całe jej życie. Nigdy nie było łatwe i nigdy nie chciała o nim opowiadać. Ale pewnych spraw nie dało się ukryć.

Zaraz po ślubie teściowie kupili im w sąsiedniej wsi mały domek. To nie było nic wielkiego, dwa pokoje i kuchnia. Pamiętam, że ciągle coś tam remontowali i na coś składali pieniądze. Pamiętam też, że mąż kuzynki wyjeżdżał do pracy, nieraz na cały tydzień. Czy to naprawdę była praca, nie jestem pewna. Wracał zwykle zmęczony, często nerwowy, niezadowolony. Wtedy jeszcze odwiedzałam ich częściej, bo kuzynka urodziła dwoje dzieci, a ja zostałam matką chrzestną ich córeczki. I wówczas dużo widziałam. Sińce na rękach i twarzy kuzynki, połamane krzesła, kiedyś zbitą szybę. Dziewczyna nigdy się nie skarżyła, ale ja byłam już pewna, że jej mąż pije.

Miała zaledwie osiemnaście lat, gdy wychodziła za mąż. Nie mogłam jej darować, że nie poszła dalej do szkoły, nie zdobyła żadnego zawodu. Na pewno byłoby jej wtedy łatwiej. Kiedy mąż nie przynosił pieniędzy, zostawała bez niczego. Dziś wiem, że nieraz była głodna. Zastanawiałam się czasem dlaczego mama nie wzięła ich do siebie, dlaczego pozwala, by uciekały z domu i noce spędzały u sąsiadów. Nie chciała tego widzieć? Wstydziła się?

Kiedy dzieci trochę podrosły kuzynka dostała pracę w restauracji. Właściwie w takiej knajpce w sąsiedniej wsi. Nie w tej, w której kiedyś razem mieszkałyśmy, ale trochę dalej. Dojeżdżała więc tam codziennie po południu, nawet w niedziele. I już wtedy stawała się coraz bardziej szara i przygnębiona. Nam mówiła, że to tylko zmęczenie.

Stałyśmy na tej ulicy i patrzyłyśmy na siebie. Pytałam co się dzieje, a właściwie co się stało, bo wiedziałam, że coś musiało się stać. Przyznała się, że nie wytrzymała. Kilka miesięcy temu wyprowadziła się z domu. Zostawiła wszystko i po prostu wyszła. Z mężem od lat nie mogła się porozumieć. Pił, przyprowadzał kolegów, nie pracował. Dawała mu jedzenie, bo nie mogła patrzeć jak głoduje, ale to było wszystko, co ich łączyło. Chleb, herbata i talerz zupy. Wynajęła sobie mieszkanie. Płaci za nie i chodzi do tej swojej restauracji. Teraz już na pół etatu. A o krewnych stara się zapomnieć. Żeby nie opowiadać o kłopotach, nie przyznawać się do porażki i nie pokazywać jak przybywa jej lat. Tych na twarzy, na rękach, w sylwetce. Do mnie nie odezwała się od prawie trzech lat.

Ale co się stało?

Zaledwie miesiąc po tym jak wyprowadziła się z domu jej mąż popłynął łódką na ryby. Nie wie, czy był pijany. Dowiedziała się, że nie wrócił. Utopił się. Niemal przez całe wspólne życie chciała, żeby ich zostawił. Marzyła o spokoju, o życiu bez wódki, a więc i bez niego. Ale przecież nie tak. Nie w taki sposób.

Długo rozmawiałyśmy tego dnia. Także o tamtych latach w rodzinnej wsi. O tym jak byłyśmy młode, jak planowałyśmy przyszłość. Nawet o tym jaka ona była wtedy ładna. I o błędach, których jakimś dziwnym trafem nie dało się uniknąć. No bo gdyby tak młodo nie wyszła za mąż, gdyby skończyła szkołę średnią, gdyby wcześniej wyprowadziła się z tamtej rudery na wsi, gdyby zmusiła męża do leczenia, gdyby szukała pomocy…

Tak naprawdę wcale nie jest jeszcze taka stara.

HALINA SIECIŃSKA